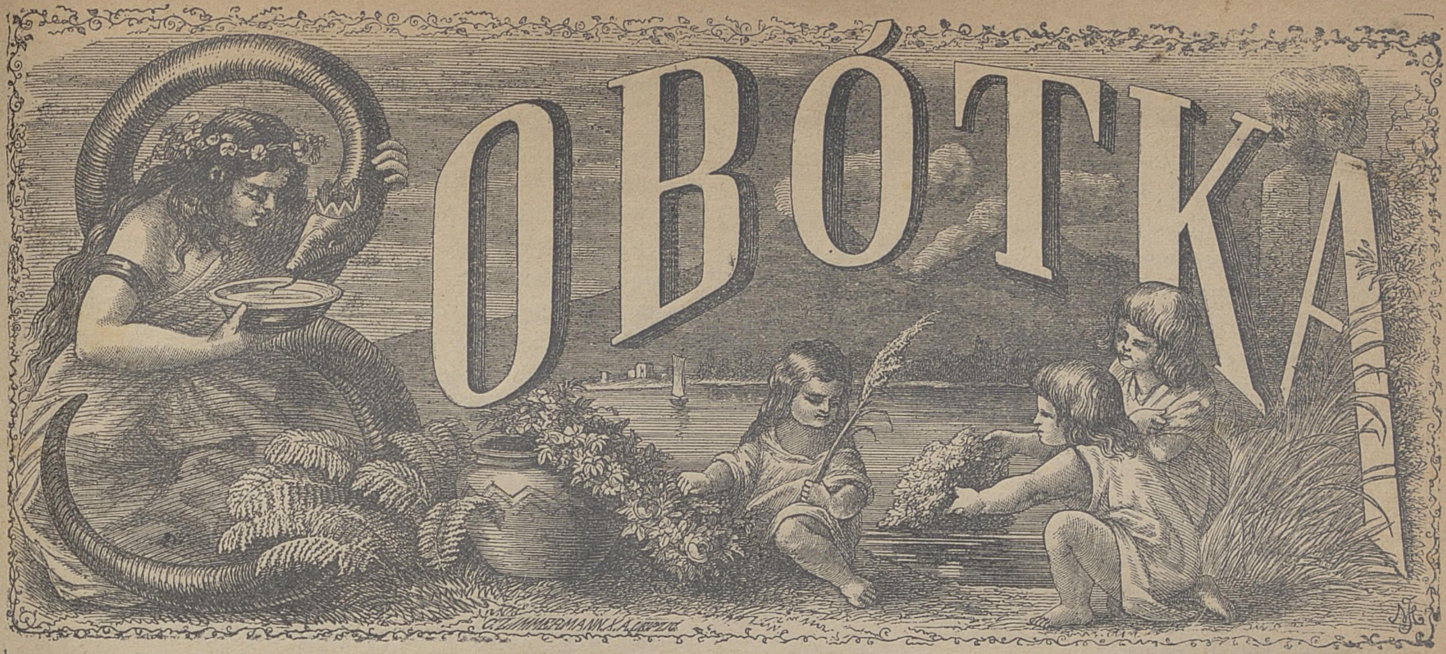


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr

№ 10. Poznań, dnia 6 Marca 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Od panny Tekli Potocki dowiedział się o powodzie smutku jéj przyjaciółki, pożegnał więc na chwilę prezesową i pieszo pospieszył do kwatery jenerała. Niedługo wrócił i podał bogdance Kościuszki list, który z pospiechem odczytała.

„*Rotmistrz Potocki uwiadomił mnie że byłem przyczyną łzów jej wylania. Tak drogie krople z pięknych zrenic, aby były zbierane z posądzenia mojego, w mém czuciu największe sprawia umartwienie. Klękam przeto i całuję rączki póki jej nie przebłagam. Ale nie myśl, abym myśl miał kiedy oczerniać ją, tylko sposób otwartości mojej wrodzonej był skutek. Co widzę, myślę i słyszę, opowiedzieć osobie przyjaznej nigdy nie zaniedbałem. Teraz się poprawię, nigdy odtąd otwartości mojej do pani nie użyję, myśl nawet wstrzymaną będzie. Uszczęśliwienie drugich w największym u mnie jest poszanowaniu, i swoję sakryfikować jestem gotów, i to tak szczerze powiadam, jak wierzę istności przedwiecznej, a dobroczynnej dla nas. Daruj przeto mnie! Wznaszam tylko ręce, z prawdą uczciwego człowieka, abyś była szczęśliwą.*

„*Już się niebo wypogadza, żyjcie bez żadnej przeszkody w zamysłach swoich. Niech żaden moment nie zasmuci panią. Miej ten szacunek i poważanie i miłość, jak teraz masz na zawsze. Niech koronuje wybrana miłość przywiązaniem stałym zobopólnie z obfitością pod myśl podpadających rzeczy. Niech nakoniec zdrowie, które wszystkim się staje dla człowieka, jeżeli nie może utrzymać na zawsze, utrzyma ją jak najdłużej. Zawsze się delikatnością w mych krokach wszystkich rządzić chciałem, a jeżeli przez ułomność zbłądziłem, niech jej dobroć serca wrzuci to w studnie zapomnienia.*

Tadeusz *)."

List ten, jeżeli nieco uspokoił chorążankę, z drugiéj strony zabolał ją, gdyż w nim Kościuszko użył nie jak dawniéj jéj imienia, ale tytułował panią. —

Ukryła jednak cierpienie, starała się przybrać wyraz spokoju na piękném swojém obliczu. —

Wszystko już było gotowém do drogi: Prezes naglił, aby na nocleg wcześnie ściągnąć. Doktór matkę sprowadził ze schodów do pojazdu. Zaledwie wsiadły do karety, gdy usłyszano tętent koni i gwar głosów.

Pędzili galopem rotmistrze Potocki z Zarembą, Kniaziewicz i Raciborski, który wszystkich na swoim siwku prześcignął. —

Ruszyła kareta z miejsca — i zwolna zwróciła się ulicą pod samą kwaterą jenerała. Kościuszko stał smutny w ganku i chustką oddawał pokłon Toci, która się wychyliła przez okno karety. Chorążanka z załzawionemi patrzyła na niego oczyma i rzuciła mu wiązankę kwiatów: Kościuszko podbiegł, schwycił je, podniósł do ust i ujrzał kartkę, na któréj ołówkiem drżącą ręką napisała te słowa:

„Tadeuszu! wierną ci będę do grobu."

Te słowa dziwnie nań oddziałały:

— Konia! konia! prędzéj konia, Jędrusiu! — krzy-

*) Podług autografu Kościuszki.

knął z niezwykłym zapałem, biegnąc do kwatery, ażeby przypasać szablę i płaszcz zarzucić: ale nim wyszedł na ganek, już białonóżka osiodłana w pogotowiu stała, a przy niéj siwy Jędruś. —

Kościuszko z rozjaśnionym obliczem wskoczył na siodło i wolnego stępa przejechał ulicę, ale za Międzyborzem nacisnął ostrogami, a białonóżka jak wiatr pomknęła.

Pierwszy Raciborski bystrém okiem spojrzawszy za siebie, poznał pędzącego jeźdźca. Zdziwiony zwrócił swego siwosza i podjechawszy bliżéj:

— Czy masz co do życzenia, mój jenerale? zapytał z uszanowaniem.

— Mój Józiu — rzekł z uśmiechem Kościuszko — zręczny jesteś! urządź tak, abym swobodnie mógł się widzieć z damami, ażeby mnie nie zobaczył prezes.

— Dobrze! zaraz ostrożnie tak zamanewrujem, żeby nieprzyjaciel się cofnął.

Jakoż, gdy jenerał, zwolniwszy biegu, wstrzymał się nieco, kadet podjechał do ciągnącego się taboru karety, bryki brockiéj w któréj prezes siedział i dwóch wozów ładownych, poszeptał z Zarembą, Potockim i Kniaziewiczem, a sam usunął się na bok. Niezadługo rotmistrz Zaremba oddał trębaczowi swego konia, a sam przesiadł się do prezesa: po chwili bryczka brocka, która szła za karetą, wyprzedziła ją i wyciągniętym kłusem pospieszyła naprzód. Zaremba namówił prezesa, ażeby wcześniéj stanąć na noclegu i przygotować dla dam wygodę.

Kiedy już kurzawa zakryła ową brykę, Raciborski podjechawszy do Kościuszki i salutując po żołniersku, rzekł:

— Mój jenerale! nieprzyjaciel spędzony z pola, tabor oswobodzony.

Kościuszko podniósł głowę z zadumy, a uścisnąwszy rękę kadeta, w pełnym galopie posunął naprzód i przy drzwiczkach karety osadził białonóżkę w miejscu. Z okna jéj już uśmiechnięta i uradowana twarzyczka wyglądała Toci, a matka wyciągnęła rękę na powitanie jenerała.

Kościuszko ucałował z rzewném uczuciem tę rękę, a patrzał z zachwyceniem w oblicze rozpromienione swéj bogdanki. —

Kadet nasz teraz objął k o m e n d ę nad całym taborem, znając dobrze okolicę i wybrane miejsce na pierwszy nocleg. Po trzech godzinach podróży zatrzymał karetę i dał znak jenerałowi. Już bowiem za laskiem przy dużéj wiosce przed karczmą stanęła bryka brocka i prezes z Zarembą chodzili, wydając gościnnemu polecenia.

Kościuszko pożegnał damy, a Toci szepnął: d o w i d z e n i a! na co skłoniła główką, jakby dając znak zapewnienia!

XI.

Miejsce, gdzie Kościuszko wstrzymał swoję białonóżkę, było pełne powabu. Gaj dębowy, mięszany z brzozą, lipami i gdzie niegdzie modrzewiem, łączył się z dużym lasem, który okalał całą okolicę. Na uboczu przy gościńcu stał domek gajowego z zabudowaniami gospodarskiemi. Na środku małego podwórza kilkowiekowa lipa, jakby zielonym namiotem osłaniała go prawie zupełnie: na suchym wierzchołku dębu zaciągnięto koło i usłano gniazdo bocianów, które już wysiadywały młode pisklęta. Z ganeczka domku otwierał się widok na łany zasianych pól, wielką karczmę i wieś ludną.

Kościuszko zsiadł z siodła i wszedł na podwórze, prosząc o gościnność. Żona gajowego powitała go radośnie, krzyknęła na chłopca, aby konia wprowadził do stajenki, dał siana i nasypał owsa do żłobu, a sama kłaniając do kolan jenerała podług zwyczaju, prosiła, ażeby nie pogardził chlebem i solą, bo czém chata bogata, tém i rada.

Uprzejmie podziękował Kościuszko za tak gościnne przyjęcie i wszedł do pierwszéj izby obszernéj. Ściany jéj zdobiły obrazy świętych: Chrystusa Pana i Bogarodzicy, przed którą gorzała dniem i nocą lampka.

Gajowa tymczasem otarłszy stołek dębowy i stół, prosiła, aby J a s n y P a n spoczął, dodając, że mąż za chwilę powróci z boru, a ona tymczasem zajmie się przygotowaniem wieczerzy.

Kościuszko usiadł zadumany, gdy niedługo wszedł gajowy i powitał swego gościa. Dobrego wzrostu, siwizną przypruszony, okazywał w całéj postaci starego bywalca po świecie i więcéj wykształconego człowieka. Zrzuciwszy borsuczą torbę i postawiwszy w kącie izby strzelbę, rzekł z uszanowaniem:

— Wielmożny pan pozwoli, że rozniecę płomyk na kominku; jakkolwiek ciepły wieczór, ale weseléj na duszy człowieka, gdy izba rozjaśni się od ognia.

Kościuszko skłonił głową — a gajowy co rychléj naniósł s u s z u i rozniecił płomień.

Gospodyni nie bawiąc, stół nakryła białym obrusem i zastawiła kwaśną śmietanę z razowym chlebem i kuraka pieczonego.

— Moja kobieta zwinęła się gracko — mówił z uśmiechem radośnym gajowy: niech Wielmożny Pan spożywa zdrowo dar Boży, a kurak, po o r m i a ń s k u upieczony, jak pomarańcza się rumieni.

— Nie zasłużyłem sobie u was moi przyjaciele — mówił z rzewném uczuciem Kościuszko — na tak serdeczne przyjęcie, ale może będziecie w Międzyborzu, to proszę do swéj kwatery: da Bóg odsłużę.

— Dawno już nie byłem w mieście i moja kobieta także, ale ludzie gadali, że tam stoi sławny nasz jenerał, co bił się strasznie na drugim świecie. Wszyscy go bardzo chwalą i oboje radzibyśmy go poznali. Bo proszę Wielmożnego pana, to rzadki i osobliwy człowiek! Król go nasz poważa i szanuje, ma wolny wstęp do niego na zamek, kiedy zechce, a on żadnym choćby najuboższym nie pogardza chudziakiem.

— Jak będziecie w Międzyborzu, rzekł Kościuszko, spożywając smaczno wieczerzę, to was poznajomię z tym jenerałem.

Oboje gajowi skłonili do kolan, dziękując, że będą tak szczęśliwi i poznają jenerała z bliska.

W téj chwili zatętniło przed domkiem i Raciborski przed gankiem osadził siwosza.

— Jenerale! zawołał — czekamy na ciebie! Kościuszko wybiegł co żywo z izby.

— Hej! gospodarzu! weźcie mego konia do stajni!

I to mówiąc, zeskoczył i wprowadził wierzchowca na dziedzińczyk. Gajowy pochwycił cugle, a zbliżając się do kadeta, rzekł z ukłonem:

Za pozwoleniem Wielmożnego paniczyka, czy to jenerał z Międzyboża, co to był na drugim świecie?

— Ten sam — odpowiedział Raciborski — to nasz jenerał. Kościuszko i nasz ojciec.

I spiesznie zawróciwszy się, pobiegł przed ganek, ażeby razem udać się w umówione miejsce. Gajowy stał osłupiały, równie jak jego kobieta.

— Mój Boże! — rzekła po długiém milczeniu — to on sam był, a my go nie poznali! Taki dobry pan! muszę mu drugiego kuraka upiec na drogę.

Wieczór był cudny, czerwcowy. Księżyc wypłynął na jasne niebiosa i pełném obliczem spoglądał na ciszę i spokój ziemski. We wsi słychać było gwar jeszcze, a po nad strumieniem lekka mgła osiadła. Chłód, co z boru przewiewał, orzeźwiał każdego. Kościuszko pędził galopem: nagle przystanął, jakby zmęczony i odetchnął głęboko. Znać pragnął uspokoić wzburzone serce.

W cieniu lip i dębów na łące — na rozesłanych dywanach i poduszkach siedziały prezesowa z córką i jéj przyjaciółką. Potocki i Kniaziewicz bawili je rozmową; gdy nadjechał jenerał, Raciborski stanął na czatach.

Rotmistrz Zaremba z siostrą prezesa zostali w karczmie dla jego zabawy. Żurowski zręcznie, będąc w wybornym humorze, tak rozmowę nakierował, że Zaremba oświadczył się o rękę panny Brygidy.

— Nie mam majątku — mówił — jak konia a szablę, ale mam zdrowe ręce do pracy i ochotę. Przy miłości i zgodzie to Bóg pobłogosławi i nasze stadło.

— Panie Rotmistrzu!—odrzekł poważnie prezes—robi mi to zaszczyt, że się z sobą zbliżymy więcéj. Na początek gospodarki i ja mojéj siostrze, którą kocham zawsze, dopomogę.

Panna Brygida rozrzewniona taką dobrocią, pocałowała brata w rękę, a on ją uścisnął.

Przy ponczyku siedząc Żurowski z Zarembą, tak w rozmowie utonęli, że zapomnieli o wszystkich.

Tymczasem równie przyjemnie bawiło się zebrane towarzystwo w dąbrowie cienistéj.

Zacna matka nie traciła bynajmniéj nadziei, że przejedna męża, który zezwoli na połączenie córki z jenerałem. Kościuszko uszczęśliwiony siedząc obok swéj bogdanki, uważał tę chwilę za najszczęśliwszą w swém życiu: równego uczucia doznawał Kniaziewicz, będąc pewnym wzajemności pięknéj Tekli Orlewskiéj. —

Nagle poskoczył ku stronie domku gajowego Raciborski, usłyszawszy tętent koni i turkot pojazdu. Pędził nim żywo doktór Stakenszmitt, chcąc razem z całém gronem oficerów pożegnać raz ostatni swoich pacyentów. —

Pojazd zatrzymał się u gajowego, a z kadetem nadszedł doktór, powitany serdecznie przez zebrane grono. —

— Nie mogłem przenieść na sobie — mówił — żebym jeszcze moich państwa nie zobaczył. Teraz — dodał z uśmiechem — mamy wszelką swobodę wykradzenia chorążanki, co tak turbowało naszego prezesa. Pojazd gotów, ksiądz proboszcz w Międzyborzu jeszcze nie śpi: jest mama dobrodziejka i są świadkowie. —

Smutnie potrząsnął głową Kościuszko:

— Nie taką drogą mogę poślubić chorążankę: zbyt ją kocham i szanuję, ażebym pozbawiał błogosławieństwa ojcowskiego.

Doktór uścisnął rękę jego i rzekł:

— Wiesz doskonale mój jenerale, żem żartował. Znamy cię wszyscy i twój szlachetny charakter.

Rozmowa się orzeźwiła, wszyscy byli w najweselszém usposobieniu, gdy Janusz nadbiegł i dał znać kadetowi od rotmistrza, że już czas.

Było to hasło umówione z Raciborskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SONETY.

NA BALU.

Zabrzmiał ochoczy mazur, już w kole stanęła!
— Jak urocza, choć żadnych w jéj stroju błyskotek,
Zręczną kibić błękitna sukienka objęła,
W złotych splotach równianka ze śnieżnych stokrotek.

Na alabastrze szyi rząd pereł połyska,
A wielkich, modrych oczu głębokie spojrzenie
Przenika tajnie serca jak słońca promienie.
Chcesz ją poznać nieznany? — chodź i popatrz z bliska.

— Cała świeża, błękitna jak powój majowy!
Czemu jednak jéj lice tęskny wyraz mroczy?
Na ustach smętny igra uśmiech koralowy,

Rzewny blask roztaczają promienne jéj oczy?.....
Znów muzyka zabrzmiała — i mazur ochoczy
Unosząc wiotki powój, zwiał wątek rozmowy.

WSPOMNIENIE POCIECHĄ.

W młodości słodko serce upajać nadzieją,
Słodko pieścić sny złote, urocze marzenia,
Lecz skoro pierwsza zniknie i drugie rozwieją,
Lżéj sercu, gdy je lube ożywią wspomnienia.

Wspomnienie! — ono jedno dziś mi pozostało
Z rajskiéj krainy marzeń, z pamiątek przeszłości,
Zwiędły kwiaty nadziei, wiary i miłości —
I echo szczęścia po nich na wieki przebrzmiało.

Dzisiaj, gdy w przeszłość moję wpatrzę się tajemną,
Widzę przestrzeń daleką — a głuchą bez końca,
W któréj gwiazdka nadziei nigdy nie zaświeci! —

I wtedy mi błądzącéj drogą pustą, ciemną,
Naraz w przestrzeni złoty mignie promień słońca!
To wspomnienie przeszłości w tęskną duszę leci! —

T...... R.

Teofil Lenartowicz
jako rzeźbiarz.

(Z dwiema rycinami.)

Dziwne są nieraz drogi, któremi boski zdrój natchnienia wylewa się z piersi człowieka na zewnątrz; — zdawaćby się mogło, że już oddawna stały, właściwy sobie obrał kierunek, gdy nagle nowém zupełnie wytryska źródłem i nowe odsłania piękno. Świeży tego przykład mamy na Teofilu Lenartowiczu, w którym dotychczas przywykliśmy uwielbiać natchnionego piewcę, a teraz podziwiać musimy pełnego talentu rzeźbiarza. Lenartowicz jako poeta za nadto jest znany i ceniony, iżbyśmy potrzebowali przypominać obszernie czytelnikom naszym wszystkie jego zasługi i prace. Rzewne, tęskne jego pieśni, pełne prostoty i serdecznego ciepła, opromienione gorącą i głęboką wiarą, zjednały mu już oddawna imię jednego z najsympatyczniejszych liryków i prawdziwego ulubieńca naszéj publiczności. Dość wspomnieć jego Lirenkę (1851), Błogosławioną i Zachwycenie (1855) aby wywołać uczucie gorącéj sympatyi dla mazowieckiego śpiewaka, który swą czarowną muzyką słów umie lać spokój i balsam pociechy do duszy, koić żal serca i poić zachwytem zwątpiały umysł. Śpiew jego słodki, nastrojony na nótę miłości ludzi i Boga, prosty i szczery, jak śpiew dziecięcia, trafia wprost do serca; czytelnik, zwyciężony naiwnym jego urokiem, odczuwa w swéj piersi jakby woń ubiegłych lat dziecinnych i cały skarb niezachwianéj ufności i błogiéj swobody. Lenartowicz jest przeważnie poetą ludowym, a prace jego są po większéj części osnute na podaniach gminnych, których bogactwo i niepożyta świeżość będą zawsze ożywczym zdrojem narodowéj poezyi.



Teofil Lenartowicz.

Teofil Lenartowicz urodził się w Warszawie 1822 r. i poświęcał się tamże zawodowi prawniczemu. Wypadki 1848 r. zmusiły go wyjechać za granicę. Dłuższy czas przebywał on w Rzymie, ale wnet zapadłszy ciężko na zdrowiu, przeniósł się do Florencyi, gdzie od kilku lat stale przemieszkuje. W r. 1861 ożenił się z utalentowaną malarką Zofią Szymanowską, przyrodnią siostrą Adamowéj Mickiewiczowéj. Potrzeba i troska o chleb powszedni zniewoliły go do porzucenia na chwilę pióra i szukania pracy na inném polu. Zaczął się uczyć rzeźbiarstwa i wkrótce odkrył w sobie tlejącą dotychczas niepostrzeżenie iskrę nowego talentu. Poczucie piękna, które dotychczas przelewało się w nócie natchnionych jego pieśni, spoczęło teraz w twórczéj dłoni artysty-rzeźbiarza.

Lenartowicz rozpoczął naukę pod przewodnictwem znakomitego rzeźbiarza Pazzi, a późniéj, zwalczywszy już pierwsze trudności, studyował z zapałem dzieła wielkich mistrzów włoskich. Rycina nasza na str. 77 przedstawia pierwszą większą jego płaskorzeźbę, wykonaną w brązie. Uzyskała ona od razu pochwałę pierwszych znawców włoskich, którzy nie wahali się przyrownać jéj do najpiękniejszych dzieł nieśmiertelnego Lorenza Ghibertego. Szczególniéj zaś pochlebnie ocenił ją profesor Dupré w Florencyi, uchodzący za powagę estetyczną we Włoszech.

Prace tego rodzaju są teraz nadzwyczajną rzadkością, a jeźli są nacechowane prawdziwym artyzmem, tém większy wzbudzają podziw. Płaskorzeźba przedstawia wejście Izraelitów do Ziemi obiecanéj. Całość obrazu uderza na wstępie nadzwyczajną harmonią i umiejętném rozdzieleniem grup przy wyborném zachowaniu perspektywy.

Na pierwszym planie widzimy poważny orszak kapłanów, niosących z religijną czcią arkę przymierza, na któréj błyszczy hebrajski napis „Jehowa"; przed nimi posuwa się zastęp wojowników i kobiet. Anioł opiekuńczy unosi się ponad ludem i wskazuje mu drogę. Po lewéj stronie na boku młody wojownik kanaański patrzy zdumiony na pochód nieznanego sobie ludu i na Mojżesza, którego postać ukazuje się na wyniosłéj skale i góruje nad całym obrazem. Prorok z gorącém upragnieniem wlepił oczy w stronę, zkąd widać ziemię obiecaną, któréj jego stopa nigdy dotknąć nie miała i zdaje się żegnać z dwoma uczniami swymi. Tuż za nim widzimy ostatni szereg wojowników, schodzących ze skały i posuwających się za całym Izraelem, którego główna część zstąpiła już w wyschłe łożysko Jordanu.

Krytyka włoska zarzuciła dziełu polskiego artysty mniéj słusznie, że górny krajobraz z lewéj strony jest w niém nieco pusty i że mu brak bujniejszéj roślinności wschodniéj. Więcéj usprawiedliwiony zdaje nam się drugi jéj zarzut, że artysta zbyt troskliwie pootulał szatami wszystkie postacie Izraelitów, choć za to bogate i umiejętne udrapowanie tychże szat nic nie pozostawia do życzenia.

Cały obraz tchnie prawdziwém namaszczeniem biblijném i wysokim nastrojem poetycznym. Patrzymy

z współczuciem na uradowane dzieci Izraela, które po tylu latach tęsknoty i wygnania wracają do ukochanéj swéj ojczyzny, a widok ten jest jakby wróżbą nadziei i pociechy dla wszystkich uciemiężonych ludów.

Obraz ten, przewieziony z wielkim nakładem przez panią Lenartowicz z Florencyi do Paryża, sprzedany został tamże w Grudniu r. z. za 5,000 fr.

Z.

O tworzeniu się źródeł.

(Dokończenie.)

IV.

Studnie zwyczajne tém się różnią od artezyjskich, że woda do nich płynąca tworzy żyłę bardzo płaską, a więc nie dosyć silną, aby mogła drugie swe ramię, do którego taż studnia należy, podnieść aż na powierzchnią ziemi.

Warunki wyżéj podane, od których zależne jest tworzenie się źródeł, pozwalają po dokładném ich rozpoznaniu oznaczyć z całą pewnością, w którém miejscu otrzyma się studnią artezyjską, w którém miejscu zwyczajną, w którém też wcale się na wodę nie trafi. Można nadto, co się w naturze dzieje przypadkiem, naśla-



Przejście Izraelitów przez Jordan (według płaskorzeźby T. Lenartowicza.)

dować umyślnie i urządzić w ogrodzie np. stósownie do podanych warunków źródło sztuczne, któreby pożytkowi i ozdobie służyło. Są na to w niektórych dziełach geologicznych wyraźne, że tak powiem, recepty.

W ogólności mogą się źródła tworzyć wszędzie na całéj ziemi z wyjątkiem stron, gdzie deszcze nigdy nie padają i z wyjątkiem najwyższych miejsc, czy to na górach, czy na wzgórzach, jeżeli wyższych nad nie w okolicy nie ma, a choćby i wyższe były, jeżeli nie mają warstw jednakich, w związku ze sobą zostających. Łatwém znów jest do wytłomaczenia, że po bokach gór i pagórków, czyli po ich pochyłości, źródła są najczęstsze. Bywają też źródła na dnie jeziór i rzek, których utworzenie się zupełnie jest niezależne od bytności wód owych i owszem przeciwnie źródła na stan niektórych, jeziór zwłaszcza, nie mało wpływają.

Obfitość źródła zależy najprzód od ilości deszczu lub śniegu, w pewnéj okolicy spadającego, tudzież od obszaru ziemi, który wodę otrzymaną źródłu temu oddaje. Im częstsze i mocniejsze deszcze, tém większa ilość wody wsiąkającéj; im większy obszar ziemi wodę do jednéj żyły posyła, tém bogatsza tworzy się żyła i źródło.

V.

Bardzo pewnym probierzem prawdziwości powyższego wytłomaczenia genezy źródeł jest okoliczność następna: Źródła nie zawsze płyną w równéj mocy, czyli obfitości. Zależy to od braku deszczów, lub od nierównéj ilości wody, którą przynoszą. Po mocnych deszczach płyną źródła mocniéj, po długiéj suszy słabieją, albo i nikną. U niektórych powtarza się to różnemi czasami, że płyną i ustają, ponieważ też i deszcze w pewnych czasach są rzadkie, w innych znów częste. Jeżeli tedy źródło wyschło, znaczy to, że wszystka woda

z należącéj do niego żyły wyciekła, a nowe deszcze nie spadły i zasiłku nie przyniosły. Źródła zaś nieustające mają żyłę wody tak długą i obfitą, że czas ten, który jest potrzebny, aby w niéj woda od początku do końca spłynęła, dłuższy jest, niż czas między jednym deszczem a drugim podczas najtrwalszéj posuchy. Zanim więc stary zapas się skończył, nowy nadpłynął. Prócz téj żyły głównéj mają źródła także i żyły poboczne — bliższe źródła, które prędzéj do niego dobiegają, niż dochód główny, dodając po takiém osłabiającém przesileniu rychłego zasiłku, — na podobieństwo tego, jak wszyscy gospodarze na początku żniwa za rzep pierwszy sukurs biorą, który im pozwoli czekać na późniejszą walną intratę.

Jako główny czynnik przy tworzeniu się źródeł okazują się przeto deszcze, z których atoli mała tylko część na utworzenie źródeł idzie; — reszta ma inne przeznaczenie! Aby tedy właściwy początek tworzenia się źródeł oznaczyć, należy sięgnąć daléj, na pochodzenie deszczów zważając, poczém następne zdania, dziwnego na pozór brzmienia, wydadzą się jako wniosek naturalny:

VI.

Wszystkie źródła mają źródło swoje w morzu, raczéj w oceanie. Nie idą atoli gdzieś ze dna morskiego podziemnemi kanałami w głębi ziemi pod górę z pogwałceniem praw natury, lecz płyną nad nami górą, płyną „na skrzydłach wiatru,“ jak się w tak niezwykły naturalistom sposób mówienia fizyk pewien wyraża. Z oceanu ciągle się podnoszą pod wpływem słońca pary niewidziane, a potém niesione przeciwpasatnym wiatrem, który lepiéj może równikowym mógłby być nazwany, przychodzą do nas zgęszczone w postaci chmur, przynosząc nam latem deszcze, zimą śniegi. Następnie tedy każda piędź ziemi, deszcz lub śnieg otrzymująca, jest początkiem źródła najbliższego, do którego się woda ściąga drobnemi żyłkami, na podobieństwo tych żyłek w człowieku, które od najdalszych członków krew prowadzą do serca.

Tak więc źródła źródeł naprzód są w oceanie, są potém nad głowami naszemi w postaci chmur śnieżnych i deszczowych, późniéj są w każdéj zroszonéj grudzie ziemi. Są w głębi, są górą i dołem, podzielając tak koléj wielu innych rzeczy na ziemi. Słabe — podlegają silniejszym potęgom, które niemi tak rozrządzają, jak rzemieślnik wątkiem swoim. Ciepło słoneczne i zimno ziemskie są tymi fabrykantami, którzy wyrabiają źródła w warsztacie natury, ustawionym ręką odwiecznego Mistrza. Ciepło słoneczne wywodzi materyał z oceanu i podnosi go w górę; wiatry, któreby można nazwać kłótnią między słońcem a ziemią, roznoszą ten materyał po naszym planecie; chłodna ziemia, nie skłonna do żadnéj darowizny, odbiera własność i chowa pod swą zwierzchnią szatę.

Spór ten między ciepłem słoneczném a zimnem ziemskiém daje nam przykład téj walki między przeciwnemi siłami, które się bez przerwy tak w świecie fizycznym, jak i moralnym toczy.

Granówko, 31 stycznia.

M. K.

Kronika lwowska.

(S) Z liczby miast polskich Lwów jest najuboższym w pamiątki historyczne. Kościołów, domów, pomników starożytnych prawie nie ma wcale; a że przy tém fizyonomia jego nie oznacza się nowością — tém dziwniéj więc odbija brak tego wszystkiego, co gdzieindziéj wymownie mówi o wiekach minionych... Z zamku Lwa pozostał ledwie kawał muru; dawne wały przeistoczyły się w przechadzkę o tyle nieprzyjemną, że ją przerzyna nie grzesząca wonnością Pełtew'... Mamy tu wprawdzie ze śmieci wydobytą statuę Jabłonowskiego, obrońcę Lwowa — wszelako umalowanie jéj farbą i pokostem nie zbyt korzystnie świadczy o smaku artystycznym mieszkańców stolicy Rusi czerwonéj. Od dwóch lat dopiero zaczęliśmy się krzątać nad wydobyciem z pyłu zapomnienia tego wszystkiego, coby o przeszłości naszéj świadczyć mogło.... i temu to zawdzięczamy wydobycie posągów z katakomb kościoła Dominikańskiego; temu zdjęcie bronzowéj statuy Anioła z frontonu jednego z magazynów wojskowych; temu wreszcie zawdzięczamy zajęcie się odnową kościoła św. Jana, jednego z najstarszych we Lwowie, bo sięgającego w XII, jak utrzymuje p. K. Widmann, którego wydał obecnie broszurę, zawierającą wiadomość historyczną o wspomnionym kościołku.

Zajęcia poważniejsze nie przeszkadzają nam wcale oddawać się sprawom, które w żadnym razie korzystnie o nas świadczyć nie mogą. Słyszeliście zapewne o gorszącéj polemice pomiędzy Gazetą Narodową a Dziennikiem Lwowskim, który oddając — pięknie za nadobne — wyciąga na jaw stare i nowe grzechy Gazety.... na czém naigorzéj wyszedł były namiestnik hr. Gołuchowski! gdyż cała kłótnia rozbiła się głównie o rządy jego w Galicyi z r. 1848.

Jak mało się znamy, jak mało umiemy powiedzieć o sobie, najlepszym dowodem to, że i wykształceńsi pomiędzy nami są np. tego przekonania, że za Zbruczem słońce wschodzi o kilka godzin późniéj, aniżeli z téj strony rzeki; a to co Europa i Galicya ma już u siebie, po latach pięćdziesięciu dopiero przenika do Kamieńca, Wilna, Kijowa.... Przekonanie najmylniejsze! bo na opak: wiele z tego, co tam już znają, nie ma w Galicyi; choćby, dajmy na to: szkoły żeńskie wyższe, wolność składania egzaminów na stopnie akademickie, pomimo nieuczęszczania do szkół rządowych i wiele innnych rzeczy. Nie myśląc jednak polemizować z niewierzącymi w prawidłowy wschód słońca za Zbruczem, zwracam waszę uwagę na to, że dotychczas nie mamy — nie już dzieła, książki... ale nawet obszerniejszego artykułu o Kijowie. A przecież „Carogród słowiański“, jak go nazywano, miasto, którém zachwycał się Chrobry, Śmiały, miasto, które bądź co bądź nie przestało być sercem północno wschodnich krain Słowiańszczyzny — zasługuje na bliższe z nim zaznajomienie się. Dotkliwą tę lukę w naszéj literaturze wypełnia p. P. Stachurski; wypracowuje obecnie rzecz obszerniejszą o Kijowie, którą zamierza wydać z planem i widokami dawnego i dzisiejszego Kijowa. Mimochodem dodam, że powieść pana Stach. „Przed laty“ przetłómaczoną znstała na język serbski.

Dwie rzeczy zwracają tu na siebie uwagę, a obie wyszły z Poznania: Obrazy Rusi Czerwonéj i list p. Jagielskiego w sprawie samowolnego przedruku pism Syrokomli. Pierwsze nie wszystkim — drugie nikomu u nas się nie podoba.

Wysoko cenimy talent p. J. Kossaka... To téż może dla tego trudno jest nam zgodzić się na ogół rysunków w „Obrazach,“ a w szczególe na pewne usterki, świadczące jakby o pospiechu ... zaniedbaniu może... Artystę poznasz tu we wszystkiém! ale téż i grzechy jego wpadną ci w oko do razu. Owi np. „Pastuszkowie przy drodze“ — dziwolągi! „Dobrodziéj!“ — murzyn! „Żydzi i żydówki“ chyba z Jerozolimy! „Lirnik“ — szkaradzieństwo! Ale za to „Pogrzeb,“ „Jarmark,“ „Powrót z jarmarku“ i inne — ileż tu prawdy!

jaka pomysłu głębia, artyzm!... Doprawdy, gniewamy się na artystę, że nas przymusił do czynienia mu zarzutów!

Co do p. Jagielskiego — chybać go paragrafy kodeksu pruskiego rozgrzeszą... bo my krok jego potępiamy stanowczo! Tylko porozumienie się z wdową, zupełna satysfakcya dana sierotom — zdołają naprawić, co zepsuła samowola nie powołanego wydawcy!

Zjawił się tu świstek p. t. „Szczutek“ z pretensyą na pisemko humorystyczne. Nie znana nikomu redakcya tego pisma trąci atmosferą średnią pomiędzy „Strachopudem“ p. Liwczaka, a „Słowianinem“ p. Turowskiego, któren, jak utrzymują, znikł ze Lwowa wraz z osławioném swém pismem.

Fabrykacya krawatów.

Alfons Karr napisał ciekawą podróż w około swego pokoju. Klin kreślił kartki opisu stolic, których nigdy na oczy nie widział. Verne zstępował do środka ziemi i biegł balonem na księżyc...

Powiadają, że z dzieł tych spłynęło nauki nie mało.

Otóż sądzę, że nad te podróże fantastyczne bardziéj nauczającą byłaby wycieczka po sklepie galanteryi.... w Warszawie. Podróż, jak widzicie, niezbyt uciążliwa a bardzo przyjemna dla płci pięknéj, — o względy któréj nie mało nam idzie, nawet w artykułach ekonomicznych!

Korzyści powiadamy wynikłyby wielkie, a naprzód nauczylibyśmy się dokładnie geografii Niemiec, Francyi, Anglii. Czego się bowiem dotknąć, zacząwszy od szpilki a skończywszy na okryciu damskiém, wszystko jest zagraniczne. To z Hamburga, to z Lyonu, to z Wiednia, to z Amsterdamu. I czy to kij prosty, czy kawałek tekturki, wszystko opatrzone zagraniczną etykietą.

Druga wielka nauka dla tych co mają uszy do słyszenia a oczy do patrzenia — jest ta: w jaki to sposób bogactwo ekonomiczne kraju wyczerpuje się ze szkodą miejscowych sił produkcyjnych, kiedy brak przedsiębiorczości i chęci do pracy pozostawia tyle gałęzi przemysłów odłogiem! Czyż bowiem w liczbie tylu najrozmaitszych przedmiotów, z jakich się składa wystawa sklepu galanteryi — nie znajdziemy mnóstwa mogących być z korzyścią produkowanemi na miejscu? Czyż braknie nam materyałów surowych? Ależ po większéj części powstają te przedmioty z drzewa, wełny, cynku, papieru; my posiadamy obfitość tych materyałów surowych. Może braknie rąk do pracy?

Idźmy po warsztatach. Tam nędza, narzekania na czasy, brak roboty. A więc niema odbytu? W tym względzie wykazy statystyczne komor są nader pouczające. Na teraz weźmiemy jeden tylko przykład, wskazany nagłówkiem niniejszego artykułu: fabrykacyą krawatów... owego kawałka materyi, bez którego żaden człowiek porządny nie jest ubrany.

— Jak sądzicie — za wiele też warszawskie sklepy sprzedają krawatów sprowadzonych z zagranicy? Oto podług obliczenia bardzo kompetentnego znawcy ni mniéj, ni więcéj, jak tylko za 150,000 rs rocznie.

Piękna sumka — lecz o wiele nie wyraża tego, co w dziesięciu guberniach Królestwa spotrzebowaném bywa. Otóż cała ta masa krawatów sprowadzaną jest z zagranicy, gdzie przygotowanie ich stanowi zajęcie dobrze popłatne. Krawaty bowiem szyją się po największéj części na machinie i wykończają tylko w rękach. W Ameryce, gdzie fabrykacya krawatów stanowi specyalność, kobieta pracownica przy 10cio-godzinnéj pracy dziennéj, zarabia tygodniowo 4 do 5, do 6 talarów. Płatne od sztuki lub pracujące w domu, do czego potrzeba posiadać większe uzdolnienie i gust wykwintniejszy, zarabiają od 8 do 9 dolarów. Praca w ogóle trwa bez żadnéj stagnacyi przez cały rok, największą jest jednak na wiosnę i w jesieni. W Ameryce głównem ogniskiem téj fabrykacyi jest Baltimore, lecz i w Nowym-Yorku od niejakiego czasu stała się samoistnym przemysłem.

Co się tyczy Europy w Niemczech, a szczególniéj w Wiedniu, przemysł ten kwitnie najwięcéj, ku czemu odbyt krawatów haftowanych do Węgier, jako należących do tamtejszego stroju, pierwsze miejsce zajmuje. Zapotrzebowanie do Turcyi, Księstw Naddunajskich i nareszcie do nas, wywołują tam ruch nie mały. Łatwo to możemy pojąć, przypomniawszy, iż jedna tylko fabryka Ignacego Königa w Wiedniu wydała w ciągu ostatnich lat siedmiu 2000 wzorów. Dowód to nietylko umiejętnego wyzyskiwania zmienności mody, ale i owéj inicyatywy, z jaką na polu przemysłu zagraniczni fabrykanci występują. Każdy tam myśli, aby czemś nowém uwagę na siebie zwrócić... a my za to nowe dobrodusznie płacim.

Powiadano nam, iż przed kilku laty znajdowała się w Warszawie fabryka krawatów, lecz że jéj właściciel zrobiwszy w krótkim czasie mająteczek, w stan spoczynku przeszedł.

Dodamy jeszcze, iż krawaty z funta według taryfy płacą 45 kop. cła; to jest tyle ile i materya na nie kosztuje, z téj więc strony fabrykacya nasza mogłaby wytrzymać współzawodnictwo.

Zachęcamy więc posiadających choćby nie wielkie kapitaliki do rzucenia się w to przedsiębiorstwo, którego potrzebę staraliśmy się umotywować Ten rodzaj przemysłu dałby kobietom nie małe pole zarobku — kobietom ubogim a potrzebującym pracy.

Temi słowy do mieszkańców Warszawy przemawia „Przegląd Tygodniowy.“ Dadzą się one i do naszego miasta zastósować. — Pocóż pieniądze, które za krawaty mogłyby pozostać w Poznaniu, mamy wysyłać w głąb' Niemiec?

ROZMAITOŚCI.

Alojzy Żółkowski i kupiec bez nosa.

Jeżeli do pierwszych komików sceny warszawskiéj zaliczamy żyjącego Alojzego Żółkowskiego, to ojciec jego, także Alojzy, nie tylko za czasów Księstwa Warszawskiego i pierwszych lat królestwa kongresowego był pierwszym komikiem teatru narodowego, ale liczył się do najdowcipniejszych ludzi swego czasu. Redaktor humorystycznych pism, jak: Pot-pourri i Momusa, zyskał zasłużony rozgłos na całych obszarach ziem dawnéj Rzeczypospolitéj, gdzie tylko dosięgał język polski Ile razy na afiszu było jego nazwisko, teatr się przepełniał, bo wszyscy pragnęli poznać i wielkiego komika i pierwszego humorystę. Usłyszany tylko głos jego za kulisami już wywoływał radość wszystkich zebranych widzów. On to wprowadził i rozpowszechnił kalembury, któremi wykazał, jak nasz język jest bogaty w dwuznaczniki i że francuski bynajmniéj nad nim nie góruje.

Za dowcipne anegdotki i kalembury patryotyczne (jak np. głupia Polska bez poznania) nieraz odbierał napomnienia policyjne, aż za następny kalembur: „Wyciąć Burbonów—Napoleon lepszy“, który—rozłożony na sylaby—tak niewinnie wyglądał: „Wyciąć bór, bo nów — na pole on lepszy“, — z rozkazu Wielkiego ks. Konstantego został aresztowany i przez Lubowidzkiego, vice-prezydenta, do Belwederu dostawiony.

Wielki książę właśnie był po oświadczynach i zaręczynach z Joanną Grudzieńską, już księżną Łowicką, w któréj szalenie się kochał. Starał się więc dla niéj o prawdziwy szal turecki. W całéj Warszawie miał ich tylko kilka pewien Grek po ojcu swoim. Ten równocześnie sprowadzonym został do Belwederu.

Żółkowski przy okrągłéj, pucołowatéj twarzy, wypukłych oczach, w chwilach wzruszenia miał tak oryginalną fizyonomią, że spojrzawszy nań, od śmiechu wstrzymać się nie było podobném. Zaledwie wysiadł z pojazdu i wszedł do sali audyencyonalnéj, któréj ściany zdobiły olejne obrazy wojska polskiego różnych pułków i broni, ujrzawszy ją zapełnioną jenerałami i oficerami wyższymi, poczuł — jak to mówią tchórza — w sobie, a oblicze jego przybrało komiczny wyraz.

Zaledwie Lubowidzki doniósł, że przywiózł Żółkowskiego Wielkiemu księciu, ten z nie małym gniewem roztwiera drzwi, wychodzi szybko, zwraca się wprost do redaktora Momusa; ale zaledwie spojrzał na niego, gniew go opuszcza, oblicze Wielkiego księcia pogodnieje, mars znika i tłumiąc śmiech w sobie, podchodzi do Żółkowskiego, a grożąc mu palcem, rozbrojony łagodnie przemawia:

— Słysz ty! Żółkowski! jak ty mi takie głupstwa będziesz drugi raz pisał, to dam ci takiego nosa!...

I pokazał mu długość swéj ręki.

Żółkowski już poprzednio zobaczył kupca bez nosa, stojącego w pobliżu; teraz, jak Wielki książę ochłonął, nabrawszy otuchy, rzekł spokojnie:

— Ten nos, Mości książę, zdałby się temu panu z tureckiemi szalami.

Wielki książę nagle zwraca głowę w tę stronę, a ujrzawszy drobną postać grecką z trupiém niemal obliczem, zupełnie bez nosa, już nie mógł dłużéj taić śmiechu, parsknął głośno, a chór zebranych przywtórzył mu radośnie.

Żółkowski odjechał już spokojny, a wszystko dnia tego było dobrze i [illegible] paradzie na Saskim placu i Belwederze, bo Wielki książę na[illegible] dzień był wesoły z dowcipu redaktora Momusa.

Wł.

Co nadto nie zdrowe.

Światło oku miłe i do życia niezbędnie potrzebne, ale gdy za mocne — razi, boli i oślepia. Tony głaszczą ucho mile, ale huk armat i piorunów głuszy zupełnie. Słodycz przyjemna, ale gdy się miarka przebierze, nudzi i robi ckliwość. Zapach sprawia przyjemność, ale zanadto wielki omdlenie i paraliż. Łechtanie pobudza do śmiechu, ale sprowadza też konwulsye i śmierć. Nagła radość również człowieka o śmierć przyprawia. Żydówka pewna wygrała wielki los, a na tę wieść padła nieżywa. Dla tego co nadto niezdrowe; miarą będzie dłużéj.

Czas i pieniądze.

Kto dziennie może zarobić 6 złotych przez swoję pracę, a przez pół dnia nic nie robi, ten chociażby tylko podczas swojego próżnowania wydał pół złotego, rzeczywiście ponosi znacznie większy wydatek, bo zmarnotrawił 3 złote, które mógł zarobić, a nie zarobił. Nie mniejszą wartość od pieniędzy, ma kredyt, lecz w miarę użyty, umarzający zaciągniętą pożyczkę z jak największą akuratnością. Przetrzymywanie chociażby tylko godzinę nad czas oznaczony pożyczonych pieniędzy, tak samo szkodzi kredytowi, jak czas użyty na próżnowanie zarobkowości. Kto chce dojść do majątku, winien pracować i oszczędzać t. j. nie trwonić marnie ani czasu ani pieniędzy. — Zaoszczędzony po zaspokojeniu nieodzownych potrzeb grosz jeden, zostanie podwaliną wielkiego majątku, gdyż właściwością pieniędzy jest pomnażać się bezustannie. Z grosza powstają złotówki, ze złotówek talary, z talara stutalarówki itd., to też kto marnuje grosz, ten utraca tysiące talarów, jakieby z tego jednego grosza powstać mogły.

B. Fr.

Różne myśli.

W tysiąc masztów wypływa młodzian na morze żywota — cicho na skołatanéj łodzi powraca starzec do portu.

Starzy radzi powiadają, co zrobili — dzieci, co robią, a glupcy — co robić zamyślają.

Szarada.

Gdy całe z żarem wyrzecze luby,
Klnąc przeciwności srogi los —
Odpowiedz czwarte — unikniesz zguby,
Choć jemu zadasz gorzki cios.
Bo tak uczy doświadczenie,
Że po nierozważnym czynie,
Złuda jak drugie poplynie —
Zniknie — na zawsze przeminie.

(Rozwiązanie szarady w nr. 9: ***Kukurydza.***)

Wiadomość o nowych książkach.

Kalicki Bernard. Dzieje Polski do czytania w chatach i szkołach wiejskich. Wydanie drugie 8o. 96 str. Lwów. 6 sgr. 9 fen.

Opowiadanie p. Walentego o różnych dziwach świata. Z 30 drzeworytami. Wydanie z funduszu Kraszewskiego. 8o 138 str. Lwów 12 sgr.

Dzieło to również jak i Kalickiego historya Polska, umiejętnie opracowane, odznaczają się jasnością wykładu, starannością wydania i w każdéj biblioteczce ludowéj winny się znajdować.

Szajnocha Karól. Szkice historyczne IV. 8o. str. 281. Lwów. 1 tal. 15 sgr.

Tom niniejszy wydany po śmierci znakomitego dziejopisarza zawiera prócz innych rozprawy: Domna Rozanda. Jak Ruś polszczała. Świętosław. Obyczaje Słowian. Djabeł wenecki. Szlachcic chodaczkowy i inne.

Mieczysław Leitgeber.
Księgarnia i skład nut.

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Sal. Rom.: Temat zbyt oklepany. — Panu Fr. Gwi. w Koss.: Jak na szaradę trochę dłngie, ale może użyjemy. — Panu X. X. w Pozn. Dziękujemy. — Panu S. M. w Podg. Przydadzą się Pańskie szarady, ale nie wszystkie. — Prof. Andrzejewski w Cheł.: Czy to jaki zakład? czy téż żart z Pańskiéj strony? Mamy odpowiedzieć, dla czego Panu wieczerza we Wilją mimo 13 osób wyśmienicie smakowała? Oczywiście kuchar dopisał, a Pan byłeś przy dobrym apetycie. — Panu Sęp. P.: Prosimy o więcéj. — Panu Ksaw. C.: Wolelibyśmy coś z prozy. — Panom S. M. w Ostr., J. Kr. w Inow.: Dziękujemy ale nie użyjemy. — Panu Kuź. w Odol.: zagadki, jak „ostrzyga“ prosi schować dla siebie, tém więcéj, że to stary dowcip.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.